

„Urbaniakowie i Wądołowscy”

Niepodległość, po zakończeniu I wojny światowej, nie dała Polsce granic. Decyzja o ich kształcie miała zapadnąć w czasie Traktatu Wersalskiego. Antoni Abraham – Kaszuba spod Pucka, nie godził się, jak wszyscy na Pomorzu, na Polskę bez morza. Wziął „kościółowe” buty na patyk, kumpla Tomasza Rogalę i zdążył do Wersalu. Nie udało się odzyskać Gdańska, który został Wolnym Miastem. Polsce przyznano 140 kilometrów wybrzeża z Puckiem i Półwyspem Helskim. Nad morze wyruszyli ludzie z zaborów i emigracji oraz marzyciele. To historia mojej rodziny w Polsce Niepodległej i Morskiej.

Miałam dwóch dziadków Franciszków: wielkopolskiego i amerykańskiego.

Pierwszy - **Franciszek Urbaniak**, był kowalem w Śremie i tego zawodu wyuczył czterech synów - wobec siedmiu córek nie miał żadnych ambicji. Jeden z synów ćwiczył kondycję w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”: gimnastykę i boks, ale nie zamierzał być kowalem. Marzył o morzu i lataniu - wylądował w Morskim Dywizjonie Lotniczym w Pucku. To był Roman Urbaniak - mój tato.

Drugi dziadek - **Franciszek Wądołowski**, wyjechał „za chlebem” z zaboru pruskiego do Ameryki. Kiedy dowiedział się że Polska jest wreszcie wolna, spakował piątkę dzieci, żonę w ciąży i zarządził powrót do kraju. Rejs, z Nowego Jorku do Gdańska, największe wrażenie zrobił na nastoletnich braciach Mamy: Józku i Wincentym. Chyba wtedy postanowili „pójść na morze”. Kolejną część podróży rodzina odbyła pociągiem z Gdańska do Gdyni. Kiedy dotarła do budującego się dopiero miasta i portu - był rok 1924, dziadek skomentował Gdynię jako „taką wioskę” i pojechali dalej. Z tego „dalej” obstawiał konie na Służewcu, a kiedy pochłonęły młyn i kawałek gospodarstwa, znów policzył dzieci - już było sześcioro i zarządził powrót do Gdyni. A Gdynia była już wówczas „Ameryką”. W ten sposób Wądołowscy zostali gdynianami.

Gdynia międzywojenna tworzyła swoją historię w postępie geometrycznym. Mama Genowefa czyli Jenny (wszystkie dzieci miały imiona polsko - angielskie) oraz jej bracia, pisali własne CV wspólnie z miastem. Byli młodzi, przystojni i mieli pracę, co znaczyło - pieniądze. Józek i Wincenty zaczęli pływanie na transatlantykach: ss „Polonia” i ms „Chrobry”. Pomogły: znajomość angielskiego i amerykańskie paszporty. Pozwalało to na utrzymywanie stylu życia, o który szczególnie zabiegał dziadek. Był dumny ze swoich synów - w wolnych chwilach boksujących i kopiących piłkę w KS „Union” Gdynia oraz córki, która, po pracy w domu towarowym, żeglowała, udzielała się w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, a wieczorem w szkołach tańca i na parkietach gdyńskich lokali nocnych.

Latem miejscem spotkań była gdyńska plaża i wzgórza morenowe. Na nich, w czasie jednej z rowerowych wycieczek, tato oświadczył się mamie - wcześniej sprzedała mu ten rower w swoim domu towarowym. Przez następne lata mama celebrowała narzeczeństwo, nie rezygnując z żadnego balu w Dworcu Morskim, skąd odpływały transatlantyki, a dzisiaj jest Muzeum Emigracji. No bo gdzie miała pokazywać zagraniczne buty i sukienki przywożone z rejsów przez braci. Tato przyjeżdżał z Pucka do narzeczonej w Gdyni, i często jej nie zastawał - nie było przecież telefonów komórkowych. Szedł więc do Kasyna „Riwiera” nad zatoką, które istnieje do dziś. Miał tam przywileje, bo był członkiem zwyczajnym Towarzystwa „Kasyno Podoficerów Floty w Gdyni”, z legitymacją nr 781. W statucie towarzystwa znajdował się min. koleżeński fundusz odprawowy, wsparcie rodziny także na wypadek śmierci marynarza. Był rok 1937 i może oznaczało to przewidywanie wojny.

Lata narzeczeństwa zakończyły się pod koniec sierpnia 1939 roku, kiedy tato wrócił ze szkolenia w Warszawie i oświadczył, że na początku września leci do Włoch, po zakupione przez Polskę bombowce. Mama uznała, że niebieskooki blondyn w mundurze może być łakomym kąskiem dla Włoszek i zarządziła zaręczyny. Organizację zleciła Józkowi, który pływał w dziale hotelowym na transatlantyku „Polonia”. Musiał mieć tam niezłą pozycję, skoro pożyczył zastawę na zaręczyny. Ich historia była długie lata opowiadana w naszym domu. Pewnie dlatego, że powojenny ślub Rodzice zawarli: tato w pożyczonym garniturze, a mama w prochowcu. Beztróską młodość zakończył wrzesień 1939 roku. Tato nie zdążył wylecieć z Pucka i wraz z resztą lotników MDLoT - u został obrońcą Helu. Wojnę zakończył 2 października, a potem w obozie jenieckim, razem z Józefem Unrugiem - Dowódcą Floty i Obrony Wybrzeża, swoim dowódcą.

Rodzina mamy, wraz z innymi gdynianami, została wysiedlona z miasta. Niemcy chcieli mieć nowoczesny port i miasto - nazwali je Gotenhafen, więc Gdyni nie bombardowali. Józek zszedł z „Polonii”, którą sprzedano i wrócił do Ameryki. Wincenty zamustrował na najnowocześniejszy polski transatlantyk ms „Chrobry” i wyruszył w rejs do Brazylii - płynął na nim Witold Gombrowicz. Kiedy dotarła wiadomość o wybuchu wojny 1100. pasażerów wysadzono na ląd, a statek skierowano na północ do konwojów. W czasie jednego z nich został zbombardowany przez niemieckie lotnictwo. Uratowana część załogi, w tym starszy oficer Karol Olgierd Borchardt i mój wujek, zostali przewiezieni na Wyspy Brytyjskie. Wujek - po przeszkoleniu w RAF - ie w Szkocji, wrócił do Ameryki i zgłosił się do Air Force US. Za loty na Bremę otrzymał amerykańskie odznaczenia wojskowe, a z nowojorskiej gazety z 1944 roku dowiedziałam się, że polskiego marynarza Wincentego Wądołowskiego zamieniono w amerykańskim lotnictwie na Vincent'a Wandetowskiego. Dlatego znalazłam jego grób w alei zasłużonych w Arizonie. Amerykański paszport pomógł także wujkowi Kazikowi, którego wydostano z obozu w Stutthofie - Niemcy, na początku wojny, nie wiedzieli co zrobić z amerykańskim obywatelem. Dziadek znalazł swoje miejsce w zbiorowej mogile obrońców Gdyni.

Kiedy po wojnie tato wrócił z niewoli wiedział, że nie będzie mógł latać ani w wojsku, ani w cywilu. Ale odmówił oddania marynarskiego munduru. Miał za niski stopień wojskowy, aby aresztowanie było tak spektakularne jak „Trzech Komandorów” - oficerów Marynarki Wojennej, straconych przez władze komunistyczne. To uratowało mu życie. Został wysłany na wyspę Wolin, gdzie stworzył bazę samochodową i znalazł nową miłość - wyremontował zdobycz wojenną czyli motocykl Harley, który stał się jego dumą.

Mijały lata, a rodzicom słabo wychodziło powiększanie rodziny: tato miał już 41 lat, mama - 35. Kiedy się więc urodziłam mama autorytarnie zmieniła domowe priorytety: sprzedała Harley'a i kupiła wózek koszykowy. Tato nigdy tego nie skomentował. W końcu, przez Wolin i Hel, wróciliśmy do Gdyni. Morze i Gdynia były w moim domu od zawsze. Miałam dwóch dziadków Franciszków. Nie poznałam żadnego. Ale myślę, że mam ich cechy: solidność Franciszka wielkopolskiego i fantazję Franciszka amerykańskiego.

A swoją drogą - gdybym miała kamienicę w Gdyni, którą na koniach przegrał dziadek amerykański i Harley'a, którego za wózek koszykowy sprzedała mama, to czy byłabym do dziś „starą panną”? Ale jest drugie zakończenie. 10 lutego 2020 r. w Pucku – w 100-lecie zaślubin Polski z morzem rzuciłam pierścień w Zatokę Pucką, jak Haller, więc chyba już nie jestem „starą panną”. Poślubiłam morze.